


CZY WARTO SIĘ ZAKOCHAĆ W ŚWIĘTA?



DASH
i LILY
CZY TO
SIĘ UDA?

RACHEL COHN • DAVID LEVITHAN

BUKOWY LAS

pierwszy



Lily

21 grudnia

Nie umiem cieszyć się Bożym Narodzeniem, kiedy Dash ma zły humor. Odbieram to jako wyzwanie: moim zadaniem jest zmienić świąteczny grymas w uśmiech.

Pogodny wyraz twarzy nie jest u Dasha zjawiskiem naturalnym. Obrazki, które w moim odczuciu odruchowo unoszą kąciki ust u większości ludzi – urocze bliźnięta chwiejnie stąpające w piaskownicy niczym mali, pijani piraci czy zlany deszczem człowiek, któremu w końcu udaje się złapać taksówkę – w jego przypadku zawodzą. Oto co działa: widok hipstera idącego przez park i postującego coś na Instagramie, który pośliznął się na wielkiej psiej kupie; urocze bliźnięta, które okładają się z zapalem czym popadnie – walka, początkowo na niby, szybko eskaluje i przeradza się w już-nie-tak-urocze obrzucanie się jedzeniem i piachem – doprowadzając rodziców do granicy wytrzymałości; albo taksówkarz, który zatrzymuje się w takim miejscu, by wysiadający pasażer, arogancik z Wall Street, wdepnął prosto w kałużę.

Nie chcę sprawiać wrażenia desperatki, ale w pewnym sensie żyję dla tych rzadkich chwil, kiedy mój chłopak się rozpromienia. Jego uśmiech jest czysty i szczery, może dlatego, że pojawia się niespodziewanie i niewymuszenie. Zaryzykuje wręcz stwierdzenie, że byłby w stanie rozpalić światełka na choince. (Gdyby Dash to usłyszał, jego uśmiech zgasłby w mgnieniu oka – niewykluczone, że na wieki).

Jestem zdeterminowana, by rozbawić go czymś w te święta. Nie widziałam jego twarzy – z dowolną miną – od tak dawna! Zeszłej wiosny, na koniec szkoły średniej, stanął przed niełatwym wyborem. Dostał się na Uniwersytet Columbia i rozpoczęcie studiów w tym miejscu oznaczałoby, że – ku mojej radości – zostanie w Nowym Jorku. Jednak przyjęto go również na Uniwersytet Oksfordzki, co dla anglofila i miłośnika książek było spełnieniem marzeń; wizja oceanu oddzielającego go od rodziców stanowiła dodatkowy bonus. (Nie są to najgorsi ludzie świata, ale ich relacje są skomplikowane. W mało zabawny sposób).

Chodzimy ze sobą od dwóch lat i choć zazwyczaj nie jestem na tyle wspaniałomyślna, by bez żalu rozstawać się z ukochanymi ludźmi czy zwierzętami, to w tym wypadku gorąco zachęcałam go do wyjazdu. Zawsze pragnął studiować na Oksfordzie i uważałam, że powinien mieć szansę na spełnienie marzeń! Ja zdecydowałam się odroczyć własną edukację w Barnard College. Spędzałam swój gap year, dzieląc czas między wyprowadzanie psów – któremu oddawałam się zawodowo – i wolontariat

w domu spokojnej starości, gdzie przebywał mój dziadek. Dużym plusem tej decyzji w momencie jej podejmowania była z mojej – naszej – perspektywy wizja masowego czasu, który jako nie-studentka mogłabym spędzać w Anglii u Dasha.

Tak to miało wyglądać, przynajmniej w teorii. Liczba zleceń na wyprowadzanie psiaków przerosła moje najśmielsze oczekiwania i praca zajmowała mi więcej czasu, niż myślałam. Nie widziałam się z Dashem na żywo od sierpnia. Pragnęłam przeczesać palcami jego rozczochraną grzywę – nauka zajmowała go w takim stopniu, że nie dbał o wizyty u fryzjera i zarósł jeszcze bardziej niż zwykle. Goleniem zresztą też przestał się przejmować. Nie spodziewałam się, że taki kudłaty facet może mi się spodobać, i nie jest to wyłącznie kwestia tęsknoty za Dashem – na prawdę mnie to kręci. Nie mogę się doczekać, aż ucałuję jego kark.

Życie w Anglii też okazało się pełne niespodzianek. Odnoszę wrażenie, że podoba mu się mniej, niż sądził. A może chodzi o sam Oksford – królestwo zasad i tradycji. Dash nie mówi o tym wprost, ale jestem jego dziewczyną i mam intuicję w takich sprawach. (Któregoś razu mruknął, że zastanawia się nad przeniesieniem w inne miejsce w przyszłym roku, i to też bez wątpienia dało mi do myślenia. Nie jestem jasnowidzką. Choć chciałabym!).

Założyłam, że porozmawiamy o tym podczas Bożego Narodzenia, ale parę tygodni przed Świętem Dziękczynienia oznajmił mi coś okropnego. Najpierw napisał, że „chce pogadać”. Wtedy zrozumiałam, że rozmowa nie

będzie przyjemna. Na szczęście nie chodziło o zerwanie – jak w piosence Robyn, jednej z naszych ulubionych piosenekarek. Ale wiadomość była piorunująca. ZOSTANĘ NA ŚWIĘTA U BABCI W LONDYNIE, NIE WRACAM DO NOWEGO JORKU, ŻEBY SIĘ Z TOBĄ ZOBACZYĆ.

Uwaga, kolejne sceny mogą być zbyt drastyczne dla ludzi o słabych nerwach: Lily wpada bowiem w niekontrolowaną rozpacz.

Głębokie wdechy. Oczyszczające wydechy. Zajadanie uczuć.

Tylko dzięki temu udało mi się nie oszaleć. Kiedy otrząsnęłam się z początkowego szoku, doszłam do wniosku, że mam dwie możliwości. Mogłam albo zachować się racjonalnie, zaakceptować jego decyzję i spędzić święta w domu z rodziną jak co roku – co uwielbiam, ale oznaczałoby to też ogromną tęsknotę za Dashem.

Nie znoszę racjonalnych zachowań.

Drugą opcją była...

– To kiepski pomysł, Liliowy Misiu – stwierdził mój kuzyn Mark. Oboje z niepokojem patrzyliśmy na zegar wiszący na ścianie za kasą. Było dziesięć po szóstej po południu (czy raczej osiemnasta dziesięć, jak mówią w Anglii). – Żaden chłopak nie lubi takich niespodzianek. A już szczególnie taki cynik. Nie powinienem się zgadzać, żebyś u nas nocowała, skoro on o niczym nie wie.

Drugą opcją była niezapowiedziana wizyta w Londynie!

Zdecydowałam się w ostatniej chwili, co przekładało się na masę ekspresowego planowania i wymianę SMS-ów z podenerwowaną mamą, która nie spodziewała się, że

córka skomplikuje jej bożonarodzeniowe plany. Zakładała, że pomoże jej z gotowaniem, sprzątaniem i zakupami. Niewykluczone jednak, że podobnie jak ja poczuła ulgę na myśl, że oto mamy okazję od siebie odpocząć. Odkąd postanowiłam odłożyć studia o rok, celem mamy było przypominanie mi, że to „wyłącznie tymczasowa przerwa, Lily”. Ktoś mógłby pomyśleć, że powinna wspierać moją działalność spacerową i związaną z tym aktywność w mediach społecznościowych – biznes się kręcił, a wraz z nim rosła sprzedaż moich ręcznie robionych akcesoriów dla psów i ich miłośników. Ale mama uważa moje przedsięwzięcie zapędy tylko za „źródło rozproszenia”. Nieustannie przypomina, że moim priorytetem powinno być zdobycie wyższego wykształcenia. „Zbieranie lajków i dzierganie sweterków dla pieszków chihuahua nie nauczy cię właściwie myśleć, Lily”.

Nie sądzę, że się myli. Ja to wiem.

Nie miałam też żadnych wątpliwości co do tego, że chcę się zobaczyć ze swoim chłopakiem – i to jak najszybciej! Dodatkowym bonusem była ucieczka z naszego mieszkania (które w ostatnim czasie wydawało mi się bardzo, bardzo małe) i wizja odpoczynku od matki.

– Zobaczysz, że przyjdzie – zapewniłam Marka, choć sama zaczynałam w to wątpić. – I proszę, nie mów do mnie „Liliowy Misiu” w obcym kraju. Mam szansę zaistnieć tu jako nowy człowiek, a nie rodzinna maskotka – dodałam.

Nie mogłam uwierzyć, że jestem w Londynie! Nigdy nie byłam tak daleko od domu, a to miasto mnie zaczarowało. Metro! Brytyjski akcent! Czekolada Cadbury!

Wprawdzie od urodzenia poruszałam się miejskim transportem, mówiłam po angielsku i zajadałam się smakołykami, ale w Londynie wszystko miało posmak egzotycznej nowości. Zachwycałam się, gdy komunikat z metra uprzedzał pasażerów wsiadających i wysiadających z wagoników, by uważali na krawędź peronu. Za każdym razem, gdy słyszałam kultowe „*Mind the gap*”, odbierałam to jak potajemne mrugnięcie okiem do mnie samej, przeżywającej swój gap year; cichą sugestią, że może w Londynie dowiem się, czym właściwie chcę się zająć, gdy ten rok przerwy dobiegnie końca – co chcę robić w życiu. Na to skojarzenie moja mama nigdy by nie wpadła.

Wydarzenie startowało o szóstej po południu czy też, jak tutaj mówią... o osiemnastej? Za dużo liczenia! Co prawda Mark twierdził, że spotkania w księgarniach nigdy nie zaczynają się punktualnie, ale to miejsce było wypełnione po brzegi. Wszyscy czekali na rozpoczęcie, a po Dashu nie było ani śladu, mimo zaproszenia w kalendarzu adwentowym, który własnoręcznie dla niego przygotowałam. Karteczka zawierała proste instrukcje:

**Księgarnia Daunt Books/Marylebone,
szósta po południu, 21 grudnia**

Dla czystego dreszczyku niechętnego pożądania.

Jakim cudem Dash mógł się temu oprzeć? Przecież uwielbia zagadki i szarady, szczególnie te z literaturą w tle. Nasz związek zaczął się od wskazówek, które

zostawialiśmy sobie w czerwonym notatniku Moleskine w księgarni Strand dwa lata temu, pod koniec grudnia – w okresie świątecznym. W tym roku postanowiłam kontynuować tradycję, ale w stylu brytyjskim. Tuż po Święcie Dziękczynienia wysłałam Dashowi ręcznie wykonany kalendarz adwentowy. Nowych bożonarodzeniowych tradycji nigdy dość, a idea kalendarza wydała mi się wspała: odliczanie do świąt rozpoczyna się już pierwszego grudnia i kończy w Wigilię, dwudziestego czwartego grudnia. Przygotowanie kalendarza było niezłym wyzwaniem, bo sposobów na jego wykonanie jest chyba nieskończenie wiele. Straciłam tydzień z życia na przeglądaniu Pinteresta i szukaniu pomysłów. Osiągnięty efekt wydał mi się jednak ogromnie zadowolający.

Bazę mojego kalendarza stanowiła drewniana skrzynka do przechowywania książek. Pod pokrywką czekały dwadzieścia cztery ręcznie zdobione małe pudełka z okienkami, po jednym na każdy dzień. W środku – drobne upominki, większość w rodzaju tych, które normalnie wkładałabym do świątecznych podkolanówek: skarpetki w choinki, herbaty, czekoladki. Część była jednak bardziej osobista:

1 grudnia – bon na 50 funtów do Pret a Manger, ulubionej angielskiej lunchowej knajpki Dasha. Ma bzika na punkcie ich kanapek z cheddarem i chutneyem, twierdzi, że są o niebo lepsze od tych, które można kupić w ich nowojorskich obiektach.

5 grudnia – bilet na tegoroczny hit kasowy, *Cybernetyczny Mikołaj*, w wersji 3D. Recenzja filmu ustami Dasha: „*Szklana pułapka* w wersji z czerwoną czapką z pomponem”.

8 grudnia – karta podarunkowa na nieskończoność TuliDolców. Wiem, że nigdy by z niej nie skorzystał, bo przytulasy były obciachowe, ale chichotałam na samą myśl o tym, jak krzywi się, czytając jej treść.

14 grudnia – mój osobisty faworyt – minipendrive zawierający zdjęcia, do których przymusiłam (używając siły fizycznej, inaczej się nie dało) mojego psa Borisa, gigantycznego bullmastiffa. Pies zdecydowanie nie miał ochoty na przebieranie w świąteczne ozdoby i „pozowanie” w ulubionych nowojorskich miejscówkach Dasha, do których zaliczają się księgarnia Strand, muszla koncertowa w Prospect Park czy Nowojorska Biblioteka Publiczna.

17 grudnia – minifigurka Lego z Trumanem Capote.

Dziś – zaproszenie do księgarni Daunt Books. Kiedy wysyłałam kalendarz adwentowy, planując ten dzień, chciałam po prostu, by Dash wybrał się na wydarzenie, o którym dowiedziałam się od kuzyna Marka i uznałam, że mu się spodoba. Nie mogłam wtedy przewidzieć, że prawdziwym prezentem w tym dniu będzie spotkanie ze mną!

Kwadrans po osiemnastej.

Nowa żona Marka, Julia, dołączyła do nas przy kasie.

– Chyba powinniśmy zaczynać – powiedziała.

– Nie moglibyśmy poczekać jeszcze paru minut? – poprosiłam. – Jestem pewna, że zaraz tu będzie.

– Może metro się spóźnia – pocieszyła mnie Julia. – Jeszcze chwilę zaczekamy.

W jej głosie pobrzmiwało wahanie. Wiedziałam, że jest niespokojna, co nie pasowało do tej zazwyczaj pewnej siebie kobiety – choć powodem jej podenerwowania nie była

nieobecność Dasha. Poprzedniego wieczoru, kiedy do nich przyjechałam, opowiedziała mi ze szczegółami o planowanej przez siebie skomplikowanej literackiej grze terenowej i – szczerze? Na jej miejscu też bym się denerwowała.

Mój kuzyn Mark, który pracował w księgarni Strand w Nowym Jorku, rok temu wybrał się na wakacje do Anglii i podczas wizyty w Londynie odwiedził Daunt Books – miejsce polecane mu jako szczególnie urokliwe. I faktycznie, w jego przypadku zadziały się czary. W tej położonej w dzielnicy Marylebone księgarni, w trzypiętrowym wnętrzu w stylu edwardiańskim, z dębowymi balkonami, niebiesko-zielonymi ścianami, sufitem jak w oranżerii i witrażowymi oknami, poznał Julię Gordon, londynkę jamajsko-żydowskiego pochodzenia, która niedawno przyjęła pracę w dziale marketingu w Daunt po obronie doktoratu z literatury angielskiej na uniwersytecie w Cambridge. W rodzinie wciąż nie dowierzamy, że udało jej się skłonić Marka do przeprowadzki do Londynu i że Markowi udało się ją namówić do poślubienia go.

Julia marzy o prowadzeniu wycieczek śladami literatury i w ramach swojej pracy szukała sposobów na promocję księgarni w okresie świątecznym. Tak powstał Bibliofilski Konkurs o Puchar Daunt Books, o którym Dash dowiedziałby się, gdyby podążył za instrukcją z kalendarza adwentowego. To nie jet lag sprawił, że czułam oszołomienie, słuchając planu Julii. Obawiałam się, że to taki typ: genialna, ale oderwana od rzeczywistości. Pochodzę z rodziny akademików, więc mam nosa do takich ludzi. Kiedy objaśniała mi poszczególne kroki gry terenowej, automatycznie

zwracałam uwagę na słabe punkty. Czy w mieście planowana jest w tym czasie wizyta jakiegoś zagranicznego dygnitarza, która mogłaby spowodować korki albo masowe protesty? A może organizowany jest zjazd Świętych Mikołajów, który zgromadziłby tłumy i spowolnił ruch pieszych? Kapryśni klienci. POGODA. W Nowym Jorku jestem profesjonalną wyprawdaczką psów. Moje myśli kręcą się wokół przyziemnych tematów. Julia żyje w świecie książek. Nie styka się z brutalną rzeczywistością równie często jak reszta świata. Uznałam jednak, że trzeba ją wesprzeć w tych zawodowych zapędach, i chciałam dodać jej otuchy w taki sposób, jakiego oczekiwałam chyba od własnej mamy.

– Sporo ludzi – zauważył z dumą Mark, zerkając na żonę, która z każdą chwilą sprawiała wrażenie bardziej rozluźnionej. Informacje o wydarzeniu krążyły żwawo w mediach społecznościowych, ale kto mógł przewidzieć, że ludzie faktycznie będą chcieli wziąć udział w książkowej grze terenowej tuż przed Bożym Narodzeniem?

Na środku księgarni, w wyznaczonym miejscu zbiórki czekało około dwudziestu osób. A potem moje serce na moment się zatrzymało. I to nie dlatego, że Dasha wciąż tu nie było. Ale z powodu kogoś, kto tu był. Rozpoznałam młodą parę. Nie miałam pewności, czy to faktycznie oni, ale w pewnym momencie dziewczyna – ubrana w przepiękny, szmaragdowy, jedwabny hidżab, który widziałam na zdjęciach z Oksfordu przesłanych przez Dasha – odezwała się do chłopaka:

– Drużyna Brasenose przyszła tu, by wygrać, prawda, Olivier?

A chłopak obdarzył ją uśmiechem, jakiego nigdy nie widziałam u Dasha – jakby naprawdę ją widział i jej wierzył:
– Azro. Kochanie. Mówisz, masz.

Pada śnieg, pada śnieg, dzwonią dzwonki... A NIECH MNIE!!!!!!!

Stali przede mną Olivier Wythe-Jones i Azra Khatun. Dash z nimi studiuje. I utożsamia ich ze wszystkim, czego nie znosi w Uniwersytecie Oksfordzkim.

Brytyjskie uczelnie różnią się diametralnie od amerykańskich. Nie wybierasz specjalizacji głównej, tylko kierunku. Egzaminy zdajesz w klasycznej tożde akademickiej. Studentów pierwszego roku nazywa się „pierwszakami”. Studiuje się jeden konkretny przedmiot i nic poza tym. Zamiast na semestry, rok podzielony jest na trzy ośmiotygodniowe okresy, które mają zabawne nazwy: Michaelmas, Hilary i Trinity. (Wiem, ma to tyle samo sensu jak mówienie „osiemnasta” zamiast „szósta po południu” i posiadanie waluty, która nazywa się tak samo jak jednostka wagi). Uniwersytety składają się z różnych koledżów, przypominających domy w Hogwarcie, co jest absolutnie ekstra. Na Oksfordzie Dash zgłosił się do studiowania klasyki i literatury w Brasenose College z uwagi na to, że przypisane do tego koledżu akademiki mają wyłącznie pokoje jednoosobowe. Uniknął współlokatora, jednak mimo to został skazany na przebywanie w bliskiej obecności studentów, z którymi nie miał zamiaru się zaprzyjaźniać. Najgłośniejszą parę w Brasenose tworzył duet Olivier Wythe-Jones i Azra Khatun – czyli, jak opisywał Dash: „Spotkanie Draco Malfoya z Fleur Delacour”.

Przeszło mi przez myśl, że może będzie lepiej, jak Dash nie przyjdzie.

Jednocześnie rosła we mnie irytacja. Nikt nie zna tego chłopaka lepiej ode mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało. To oryginał, żeby nie powiedzieć – dziwak. Dlatego tak bardzo go kocham. Jesteśmy ze sobą od dwóch lat. Czy nie powinien wyczuć, że jestem w pobliżu? Czy nie powinien wyczuć, jak wiele musiała poświęcić jego ukochana, by podarować mu tak wspaniałą świąteczną niespodziankę? Zrezygnowałam z wyprowadzania psów w najgorętszym okresie w roku! Pozwoliłam, by zastępował mnie brat. Wyszkoliłam Langstona najlepiej, jak umiałam, ale i tak się martwiłam. Czy moi klienci będą jeszcze chcieli korzystać z moich usług, gdy wrócę do Nowego Jorku?

W tym momencie podszedł do mnie starszawy, łysy mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym.

– Przepraszam, że tak pytam, ale czy zrobiłabyś sobie ze mną zdjęcie? – zagaił.

Mój nadopiekuńczy kuzyn Mark spojrział na niego nieufnie.

– A dlaczego chciałbyś zrobić sobie z nią zdjęcie?

– Jesteś Lily, ta wyprowadzaczka psów, prawda? – upewnił się nieznajomy.

Skinęłam głową. Zostałam rozpoznana. Zdarzyło mi się to już parę razy. Odkąd pewna popularna w mediach społecznościowych miłośniczka psów wyróżniła mój profil na swoim Instagramie, liczba moich obserwujących poszybowała w górę. Zostałam też wybrana do rankingu *Dziesięciu Psich Influencerów, Których Warto Śledzić*,

opublikowanego na łamach magazynu „Dog People”, a mężczyzna trzymał właśnie egzemplarz tej gazety. Od niedawna za pośrednictwem strony sprzedawałam też ręcznie robione akcesoria dla psów. Ku mojemu zaskoczeniu, ludzie kupowali te produkty! I to w sporych ilościach.

Mark, mimo pewnych oporów, zrobił nam zdjęcie.

– Przyjechałaś do Londynu na Światową Konferencję Edukacji Kynologicznej? – spytał nieznajomy.

– Chciałabym, żeby tak było – odparłam.

Bilet powrotny miałam na wczesny poranek dwudziestego szóstego grudnia. Choć tydzień przed Bożym Narodzeniem był jednym z najbardziej intensywnych okresów w mojej branży, mogłam sobie pozwolić na małą wycieczkę. Ale już dni między Bożym Narodzeniem a sylwestrem to dla osób wyprowadzających psy najwyższy z wysokich sezonów. Nie mogło mnie wtedy zabraknąć w Nowym Jorku, nawet jeśli w tym samym czasie w Londynie odbywała się NZWPK (Najlepsza Ze Wszystkich Psich Konferencji).

Powstrzymałam się, żeby nie zdradzić facetowi nowiny, którą nie dzieliłam się jeszcze ani z Dashem, ani z rodzicami. Organizacja sponsorująca konferencję – Instytut Kynologiczny Pembroke (IKP) – była jednocześnie instytucją edukacyjną, która zaproponowała mi miejsce u siebie w przyszłym semestrze! IKP jest jak Harvard wśród szkół specjalizujących się w kynologii, a nie powiedziałam o tym jeszcze nikomu, po pierwsze dlatego, że chciałam najpierw sprawdzić, czy spodoba mi się w Londynie, a po drugie, ponieważ wiedziałam, że rodzice mnie

zabiją. Nie byli zachwyceni, kiedy odłożyłam o rok pójście na studia w nowojorskim Barnard College, a uczestnictwo w programie IKP z pewnością odczytają jako kolejną próbę odroczenia czy wręcz zarzucenia przeze mnie edukacji wyższej.

I będą mieli rację.

18:20.

– Muszę zaczynać, Lily – powiedziała Julia. – Przykro mi. Gdzie on się podziewał?

– Rozumiem – odparłam sfrustrowana. Wiele się spodziewałam po tej chwili, wyobrażając sobie, jak Dash zobaczy mnie w księgarni. A on nie był nawet łaskaw ruszyć tyłka. Zdeterminowana, by nie zepsuć niespodzianki, nie wysłałam SMS-a typu: *GDZIE jesteś?*

Julia zwróciła się do zebranych przez mikrofon.

– Dziękuję wszystkim za przybycie! Nazywam się Julia Gordon, jestem kierowniczką marketingu w księgarni Daunt. Witajcie na pierwszym i mam nadzieję, że nie ostatnim Bibliofilskim Konkursie o Puchar Daunt Books!

Odpowiedziała jej cisza.

– Dlaczego nikt się nie cieszy? – spytałam szeptem Marka.

– Brytyjczycy nie wiwatują. To amerykańska rzecz.

– Nawet na meczach piłki nożnej?

– No dobra, ale to co innego. Do tego przed meczem żłopią piwsko.

Julia ciągnęła, unosząc w dłoni iPad.

– Odczytam teraz nazwy wszystkich drużyn. Kiedy usłyszycie tę wybraną przez siebie, zapraszam do mnie

przedstawiciela grupy po pierwszą wskazówkę. Za odnalezienie każdej stacji dostaniecie punkty, dodatkowe są dla tych, którzy prawidłowo odpowiedzą na pytania. Gdy odgadniecie wskazówkę, kolejna przyjdzie na adres e-mail szefa bądź szefowej waszej drużyny. Ostatnią odpowiedź wyślemy rankiem dwudziestego trzeciego grudnia. Będę podliczała wasze wyniki na tablecie, kierując się informacjami od współpracowników czekających na was na każdym przystanku. Natomiast w Wigilię dwie drużyny z najwyższą liczbą punktów otrzymają karty podarunkowe na zakupy w Daunt, w wysokości zależnej od wyniku punktowego. Powodzenia wszystkim! Dziękuję, że podjęliście wyzwanie.

– Nie zapomniałaś o czymś? – zawołał z tłumu Mark.

Julia westchnęła, niemal niezauważalnie.

– No tak. Mój amerykański mąż upierał się, że bez nagrody nikt nie będzie chciał wziąć udziału w zabawie, więc...

Mark chwycił za schowany gdzieś z tyłu stół zasłany kryminałami i przyciągnął go do miejsca, z którego Julia przemawiała do zebranych. Liczba książek była imponująca – puchar, na którego kształt je ułożono, był wyższy niż mój i tak bardzo duży pies.

– Oto Bibliofilski Puchar Daunt Books! – oznajmił z entuzjazmem Mark. Odpowiedziała mu cisza.

W głowie kibicowałam Markowi – ten puchar był wspaniały! Widziałam jednak, że na Brytyjczykach prezentacja nie zrobiła wrażenia. A jeśli było inaczej, to nie dali tego po sobie poznać.

Julia rozdała drużynom koperty z pierwszą wskazówką, a kuzyn wrócił do mnie i wręczył tę przeznaczoną dla mnie i Dasha. Mieliśmy wystąpić jako Drużyna Strand.

– Wygląda na to, że w grze zostaliśmy tylko ty i ja, moja droga – stwierdził, po czym otworzył kopertę:

Blisko natury

Gdzie miłośnicy kąpeli znajdą coś dla siebie

Spoczywa ten, którego imię napisano na wodzie

– Łatwizna – westchnął Mark.

– Masz rację – odparłam. Nie chodziło mi jednak o wskazówkę, tej nie rozumiałam ni w ząb. Mark miał rację na temat Dasha. – Nie powinnam była robić mu niespodzianki.

Uwielbiam kuzyna, ale nie po to przejechałam taki kawał, żeby z nim rozwiązywać literackie szarady.

Tak długo czekałam na tę chwilę. Pragnęłam zobaczyć potarganą czuprynę Dasha i jego brodę. Krzywy uśmiech. Obcisłe czarne dżinsy i jeden z jego cudownych swetrów. Pocięczałam się w duchu: „Boże Narodzenie jeszcze może się udać. Nic takiego się nie stało. Znajdę Dasha, na pewno okaże się, że doszło do jakiejś pomyłki i...”.

Niespodziewanie frontowe drzwi księgarni otworzyły się z impetem i do środka weszła starsza kobieta w eleganckiej garsonce, z kotem na smyczy. Brrr. Miłośnicy kotów.

– Czyżbyśmy się spóźnili? – spytała wyniośle, z akcentem godnym angielskiej królowej, wręcz przerysowanym,

jakby udawanym przez kogoś, kto tak naprawdę pochodzi z dzielnicy Sheepshead Bay na Brooklynie. Tuż za nią w drzwiach pojawił się dżentelmen w eleganckim garniturze i cylindrze. Zdjął nakrycie głowy zamaszystym gestem i wskazał na kobietę.

– Skądże, moja droga – odparł. – Świat zawsze na ciebie czeka.

W eleganciku rozpoznałam Dasha. DASHA! Mojego ukochanego! Zniknęły długie włosy, policzki miał gładko ogolone. Wydawał się rozbawiony. Uśmiechał się.

Widok był porażający. Oto stał przede mną człowiek, którego – jak myślałam – znam na wylot. I co? Najwyraźniej nic o nim nie wiedziałam.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



**Wciąż są razem,
a jednak... osobno!
Czy ich miłość
przeżywa rozłąkę?**

Związek Dasha i Lily kwitnie, parę czeka jednak prawdziwa próba: chłopak zaczyna studia na Uniwersytecie Oksfordzkim, a dziewczyna zostaje w Nowym Jorku. Oboje bardzo się starają, by ich uczucie nie wygasło. Niespodziewanie Dash oświadcza, że nie wraca do domu na święta, dlatego to Lily decyduje się na podróż do Londynu. Romantyczny poryw serca szybko wymyka się spod kontroli...

Serial na podstawie pierwszego tomu dostępny na Netflixie

KLIMATYCZNA SERIA Z DASHEM I LILY



Nr 21000081

ISBN 978-83-8074-466-0



9 788380 744660

bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



Cena 36,90 zł
(w tym VAT)